

ODGŁOSY WOJENNE.

W Krakowie.

Łzami i kwiatami żegnano tych, co szli walczyć z odwiecznym wrogiem Polski, co szli zwyciężać i umierać „na polu chwały”... A oni szli z uśmiechem na ustach, choć niejedno serce gryzł robak tęsknoty i żalu... Tu zostawiali wszystko najdroższe: żony, dzieci, kochanki... A tam — kule, rany i śmierć... A jednak szli pełni zapału — szli, jak rycerze Polski...

Odpiły tysiączne fale na pole walki, a wśród pożegnań słyhać tylko było słowa:

— Do widzenia w Warszawie...

Warszawa — ta wielka męczenniczka Polski, nie obmyta jeszcze z krwi roku 1905 — stała się znów gwiazdą wschodzącą nowego życia narodowego — krwawym wschodem naszej lepszej przyszłości... Ona wiedzie nasze legiony w bój — ona jest słońcem, które nam przyświeca w mrokach pożogi wojennej, jakiej jeszcze nie było na świecie.

Idą wszyscy: i ci, których żegnają drogie serca i ci, którzy biorą ze sobą wszystko najdroższe — swą rozpacz i swą tęsknotę za nieziszczalnym szczęściem, którzy „nie mają już nic do stracenia”... Jednych żegna rozplakana miłość — drugich błysk nadziei, że przynajmniej w godzinie bohaterskiej śmierci przyjdzie Ona... Wszak dla niej umiera, bo w jego sercu Ona — to wszystko najdroższe, to świętość, to Polska!...

* * *

Po ulicach płynie gwarna fala ludzka, a po kawiarniach strzelają korki szampańskie i grzmia kapele skoczniemi dźwięki... Lecz przysłuchajmy się muzyce dziejów światowych choć jedną sekundę! Wyjdźmy ze skorupy ślimaczej bezpośredniego życia i spójrzmy w otchłań przestrzeni... Dokoła prze-wala się krwawa fala przewrotu dziejowego... Tu cisza — a o kilkadziesiąt zaledwie kilometrów grzmia armaty, zmagają się milionowe armie, a tysiące istnień ludzkich zaściela swemi trupami pobojo-wiska... Tu błyszczą światłem kinkietów kawiarnie, a dookoła rzuca krwawe blaski łuna płonących wsi i miast. Tu rozbawione kobiety i urok szczęścia — tam walczą i giną męczeńską śmiercią milionowe rzesze bohaterów.

Dokoła walka i śmierć, a tu nawet tragiczne odgłosy wojennych zmagania brzmią jakimś dziwnym dysonansem.

Ciągną ponurym sznurem furgony, wozy i wózki, przepełnione rannymi... Wracają ci, co zaledwie przed kilku dniami żegnali Kraków — uśmiechnięci, weseli, radośni... Wracają z wykrzywionymi bolem twarzami — a dookoła tłum, śmiejący się, rozba-wiony, patrzący na ten poważny i smutny korowód, jak na zgotowane ku jego ucieście widowisko...

Wśród szpaleru ciekawych tłumów ciągną uli-cami Krakowa wozy z rannymi — smutne, choć nieuchronne żniwo zwycięstwa i chwały wojennej... A ten majestat bohaterstwa i męczeństwa miesza się ze skoczniemi dźwiękami restauracyjnej kapeli na Plantach...

Tragiczny dysonans pokoju i wojny, życia i śmierci... Dysonans stary, jak świat, a tak zwykły, jak człowiek.

* * *

W ogniu bitwy.

Jak wygląda współczesna bitwa? Według zgo-dnego opowiadania uczestników obecnych walk, nikt nie może sobie wyobrazić tych strasznych zapasów, kto ich sam nie widział i nie przeżył... Pewne po-jęcie o przebiegu bitwy, a właściwie o jej epizo-dach i atmosferze współczesnej walki daje opowia-danie jednego z oficerów niemieckich, które poniżej zamieszczamy:

Major objął sam komendę mojego plutonu i usta-wił go na pozycji. Było to na prawo od naszej kompanii. Pociski przelatywały ustawicznie nad nami, lecz nie widzieliśmy nieprzyjaciela, gdyż był dobrze ukryty. Padły i granaty, wznoszące chmury piasku. Niektóre pękały nad dachami, ale baterij widać nie było. Komendant batalionu oddał się, aby sprowadzić dalsze kompanie; obok mnie leżał jego adjutant. Słyszę wyraźnie, jak kapitan każe mu donieść, że nieprzyjaciół jest w przemagającej sile i że trzeba posiłków. Pytam adjutanta, czy mam leżeć dalej na pozycji.

— Na razie tak: leżeć.

Podnosi się i wraca do wsi. Zaledwie zniknął mi z oczu, widzę, że muszę działać sam. Posyłam dwóch żołnierzy z prawego skrzydła do kapitana z zapytaniem, czy mam go wesprzeć swoim pluto-nem. Czekam parę minut daremnie. Patrol nie wraca. Niema rady, muszę iść sam.

— Leżeć — komenderuję żołnierzom i pędzę do kapitana.

Po drodze dochodzi mnie rozkaz.

— Trzeci pluton ma wydłużyć się na lewo i wstrzymać nieprzyjaciela.

Nigdy jeszcze nie pędziłem z taką szybkością, jak teraz, i to po ściernisku, więc niezbyt wy-godnie.

— Wstać! W prawo zwrot! Biegiem! Za mną!

Pałasz wybliska z pochwy. Sposstrzegam wyrwę w murze jakiegoś ogrodu.

— Tędy! Obsadzić mur! Powybijaj dziury strzel-nicze!... Panie kapitanie, jaki dystans?

— Wizyr na 700!

— Na lewo przed nami piechota w alei topolo-wej! Wizyr 700! Ognia!

Nieprzyjaciół właśnie podniósł się długą linią i podbiega. Zrobił kilka kroków i pada na ziemię, bo nasze karabiny zagrzmiły raz po raz. Dobrze celują nasi chłopcy. Linia nieprzyjacielska przywarła do ziemi i powoli zaczyna się grzechot karabinów, pociski gwizdają nam koło uszu.

Nadbiega patrol z meldunkiem.

— Panie poruczniku! Na lewo nieprzyjaciół, piechota.

Do licha! Na lewo, a więc z boku. Podrywam się z kilku ludźmi. Z trudnością przedostają się lufy karabinów przez gęsty żywopłot. Słyhać okrzyki: — Nic nie widzimy!

Przyklekam.

— Dawać karabin!

Trzymam go w rękę i przykładam do najbliż-szego pnia akacyi. Pień jest dość gruby, wylot przystaje zupełnie do drzewa. Pociągam za cyngiel i strzał wylatuje; karabin, zdawałoby się, pęknie, ale pień rozwalony na pół. Tylko ramię mnie boli od uderzenia. W jednej chwili żołnierze orientują się, że to jedyny sposób i kilka otworów w żywo-płocie ziele ogniem na nieprzyjaciela.

— Baczność! Drugi półpluton. Zająć grunt zo-rany na lewo!

Najdzielniejsi spieszą przodem. Pięciu czy sze-ściu, którzy się ociągają, popycha plutonowy nie-zbyt delikatnie. Teraz mamy za sobą żywopłot, przed sobą teren doliny; jakie 1800 metrów przed nami horyzont wolny zupełnie do strzału. Szalony ogień ręcznej broni wskazuje nam, że nieprzyjaciół zrozumiał nasz manewr. Ale za chwilę robi się ci-cho, bo nasz ogień poszedł ku nieprzyjacielowi. Na suchej roli wybornie można było obserwować skutki wystrzałów. Były celne.

— Cóż to? W samym środku linii nieprzyja-cielskiej wznosi się olbrzymi, czarny słup dymu. Widzimy ciała wylatujące na parę metrów w górę. Straszliwy huk dochodzi do naszych uszu.

— Hurra! To nasza artyleria!

Zaczął się widok, trudny do opisanie. Granat za granatem wszywał się w szeregi nieprzyjacielskie. Tak dokończono dzieła naszych karabinów. Nieprzyjaciela ogarnęła panika. Ale daremnie, oficer ze szpadą w rękę staje przed uciekającymi szere-gami. Zawracają, podejmują walkę na nowo. Do-chodzą na 500 metrów do naszej pozycji i nasze karabiny pracują jak w gorączce. Wtem nowy grad szrapneli... teraz już ucieczka bez zatrzymania.

Zostaje tylko oficer, stojąc wyprostowany ze szpadą w rękę. Stoi niedługo...

Na lewo bateria nieprzyjacielska zakryta łąnem owsa. Celuje nie do nas, lecz do wsi. Ogień zwal-nia, potem ustaje. Nie widzimy dobrze, gdzie działa stoja. Nagle słyszę:

— Panie poruczniku! Artyleria na wzgórzu!

Prędko lornetkę do oczu. Chmura pyłu, z niej wybliskuje bronz działa, migają uszy końskie. Cisza grobowa. Żołnierze legli na ziemi, głowy zwrócone ku komendantowi.

— Artyleria wprost! Wizyr 1500, 1600. Cel! Pal!

Strzały poszły trochę za blisko.

Wizyr 1700! Wyjąć naboje! Ognia!

Gruchnęło. Po całej linii naszej przeleciał okrzyk: — Poszło!

W istocie strzały tym razem trafiły. Nie strze-laliśmy dłużej, jak 25 sekund szybkim ogniem. Za-klębiły się na wzgórzu konie i ludzie, działa i ja-szczyki. Znikli.

Teraz na drugą stronę.

— Wizyr 900! W prawo zwrot, biegiem! Ognia do nieprzyjaciela uciekającego przez owies! Pal!

Celujemy spokojnie, jak na strzelnicy. Na drugi dzień poznajdowaliśmy ciała za półkopkami, całe stosy.

W zbombardowaniu mieście.

Decydujący głos w bitwie współczesnej ma arty-leria. Olbrzymie działa rozstrzygają losy walk w polu i obracają w perzynę najsilniejsze twierdze i miasta... To straszne żniwo wojny opisuje kore-spondent „Corriere della Sera”, Luigi Barzini, który daje następujący wstrząsający obraz zbombardowa-nego miasta:

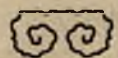
Pringy, Massigny, Automne, Chambry są do-szczętnie spalone. Zapach spalenizny rozchodzi się wokoło. Domy i stodoły dopalają się gdzieś w dali. Przed nami jakaś wyniosła wieżyczka, poprzerze-lana ze wszystkich stron wznosi się jeszcze prawie cudem. Jest to Barcy. Niema tu prawie domu, któ-ryby nie został zniszczony przez kule armatnie. —

Wewnątrz domów widnieją jeszcze szczątki me-bli, po których poznać, że panował tutaj dobrobyt. Obok domów przestronne podwórza, którym jakoby uśmiech wesela dodawały stare, wysmukłe topole, dalej stajnie i obory, a za nimi ogród owocowy i warzywny. Niektóre z tych zabudowań płoną je-szcze. Spotykałem podwórza, przypominające mi śmietniska, na których spotkać można było najroz-maitsze rzeczy do użycia i nie do użycia, zabra-ne skrzepłą krwią. Pierwszej pomocy sanitarnej udzie-lano po korytarzach i sieniach. Śmierć spotykała rannych właśnie w tych miejscach, a teraz patrole wojskowe wyszukują trupy i grzebią je opodal. — W progu jednego z tych domów ustawiony jest, jakby na urągawisko, przez żołnierza, którego hu-mor nawet w tak okropnej chwili nie opuścił, ma-nekin jakiejś krawcowej. Dach kościoła jest znie-siony, światło dzienne zagląda ze wszystkich stron do tej małej świątyni gotyckiej, której okna i wi-traże rozwarły granaty na oścież. Ze wszystkich mieszkańców pozostała tylko jakaś staruszka, która patrzy przez otwarte drzwi z głębi owej ciemnej chałupy oczami przestraszonego zwierzęcia, przele-knionego tem, co się dzieje, spokojnego i nierucho-mego. Dziwna rzecz, gdy wszyscy pouciekali, znaj-dzie się zawsze staruszka, która pozostaje jakby na straży rumowiska.

Przy końcu wsi zbliża się jakiś ciężko ładowany wóz, ciągnięty przez woły; jest on pełen trupów, których głowy zwieszają się ruchomo, a ręce skła-dają się jakby do ostatniego gestu pożegnania.

Przed wozem kroczy naprzód piechur wyniosły, kościsty, poważny, o siwych wąsach, który niesie oburącz, przyciskając do piersi worki i woreczki. Jakiś oficer pyta się go, co niesie. Piechur prostuje się i odpowiada:

— Mój kapitanie, to są pieniądze zabitych.



Dołączenie prospektów

do pisma niniejszego liczymy za 1000 sztuk po kor. 20*—

Zgłoszenia wprost do Admin. „Nowości Ilustrowanych”. Telefon 478